

KRONIKA LWOWSKA.

(Zniesienie propinacyi. — Co będzie? — Coś dla więźni. — Stenograficzne protokoły a ich skutek. — Przemysł krajowy. — Popieranie swoich a dzienniki. — Co się drukuje w lwowskich dziennikach. — Inseraty dla obcych. — Jeszcze o Colosseum. — Skandal. — Co na to policya. — Łoże. — Tajemnicza księga. — Debiut Zawiejskiej. — Pożegnanie Kliszewskiej. — Lelewicz jedzie. — Przedwczesna wiadomość. — Jeszcze mięso i cholera. — Zrewidowane hotele. — Najnowsza sensacja. — Mściwe panie. — Jak kocha poeta? — Trudno z panienkami. — Mężatki i przeszkody. — Oni tego nie rozumieją. — Mąż a poeta. — Bełkotane rymy. — Co tłum mówił? — Za ilu cierpiał poeta?)

Nie da się poprostu opisać radości, jaka zapawała we Lwowie na wiadomość o zniesieniu propinacyi. Restauratorzy i kelnerzy wyrwali sobie z rąk dzienniki z odnośnymi telegramami, padali sobie w objęcia, tańczyli Cace-walk, podskakiwali aż pod sam sufit, a gościom z uciechy liczyli wszystko potrójnie. Święta propinacya wzięła w łeb! Teraz chyba nikt narzekać nie będzie na kiepskie czasy... Piwo i wódka znacznie potanieją, ich jakość z powodu konkurencyi będzie coraz lepsza, gatunków będzie tak wielka liczba, że trzeba będzie sporządzić osobne katalogi z kolorowymi rycinami. Zataczających się obywateli można będzie odtąd widzieć codziennie, a nie jak dotąd, tylko w niedzielę i ważniejsze święta, nawet najubożsi będą mogli pozwolić sobie na upicie się dokładne przynajmniej 2—3 razy na tydzień, ażeby zapomnieć o smutku i nędzy, o świecie bożym, o panu Michalskim, o drożyznie mięsa końskiego, które do tego czasu srogo podrożeje i o innych sprawach. trapiących duszę lwowskiego mieszczaucha, dopóki jest trzeźwym. Jednym słowem — można będzie kąpać się w wódce. Rząd w tym wyadku okazał nam wielką przychylność i zrozumienie naszych potrzeb. Wiedział, że wystarczy dać nam tanie a dobre trunki, a pozyska sobie cały kraj. To też wdzięczność nasza nie ma granic...

Nie mniej ucieszył nas okólnik ministerstwa sprawiedliwości do zarządów więzień austriackich, mający na celu polepszenie doli więźni. Proszę sobie wyobrazić, że w braku lepszej posady, warto będzie teraz dać się zamknąć do kryminału, gdzie człowiek będzie mógł przesiedzieć lat kilka — jak w raju. Okólnik poleca podawać lepszą, obfitszą i bardziej urozmaiconą strawę i całkiem słusznie, bo ostatecznie i bażanty i ostrzygi przejeść się mogą więźniowi, więc „wskazaniem“ jest urozmaicenie. Ponadto nakazuje okólnik reformę w stroju (całkiem jak w szkołach żeńskich). Nastanie zatem odrębna moda. Znikną raz na zawsze tzw. „onucki“, a w ich miejsce przyjdą eleganckie wełniane skarpetki, dalej kamaszki, rękawiczki, potem może angiezy, smokingi, klaki i lakierki — słowem, bal, raj, nie kryminał.

Tak to my na każdym kroku postępujemy, modernizujemy się, myślimy o przyszłości.

Taksamo modernizuje się nasza Rada miejska. Oto padła myśl, ażeby wszystkie przemówienia rajców stenografować. Ostatnia mowa radcy Mokrzyckiego zawierała tyle zdrowego humoru i tyle tegich myśli, że poprostu żałować wypada, iż nie zachowano jej w dosłownem brzmieniu dla potomnych. Tyle przepięknych oracyj przepadło, jak kamień, w wodę rzucony, tyle pięknych myśli nie przyjęło się, a tylko dlatego, że dotąd nie było stenograficznych protokołów. Teraz będzie inaczej. Teraz nic już nie przepadnie, każdy nawet dowcip, puszczony na posiedzeniu Rady, uwieczni się w stenogramie. Będzie to miało i tę korzyść, że odtąd może nasi rajcowie być ostrożniejsi... Niejeden z mówców naszych przerazi się, gdy przeczyta w dosłownem brzmieniu swoją deklamacyę i poprawi się na przyszłość. Bo u nas wiele, bardzo wiele się mówi, ażeby nazajutrz dowiedzieć się z dzienników, co się właściwie mówiło.

Prócz tego reformujemy przemysł krajowy, a reformują go najbardziej do tego powołani, a więc: p. Getritz, introligator; redaktor „Dzwigni“ i „Lotnych Listków“, p. Korosteński; właściciel hotelu Metropol i teoretyczny przeciwnik „Złotego runa“ przedłużenia propinacyi, p. Krzysztof Janowicz i jeszcze kilku. Na ubiegłą niedzielę zwołano wielki zjazd przemysłowy, po którym się bardzo, bardzo dużo piło na zdrowie przemysłu krajowego.

My wogóle popieramy wszystko, co swoje, a żywą tę akcyę — przyznać to trzeba — zainicjowały i skutecznie dalej prowadzą nasze dzienniki. Same zaś dzienniki czynią to samo. Proszę np. przegłądać „wszystkie“ lwowskie dzienniki i wszystkie drukują w tej chwili same swojskie, rodzime powieści polskich autorów, dla popierania swoich... A więc „Słowo Polskie“: „Piękna pani i uprzejmy dentysta“ F. C. Bornanda; „Wiek nowy“: „Czerwony dwór“ (z angielskiego); „Kuryer Lwowski“:

„Po powrocie Holmesa z Tybetu“ Conan Doyle'go; „Przegląd“: „Pan szef tajnej policji“ (z francuskiego); „Dziennik polski“: „Tabakiera kardynała“ Henryka Harlanda; „Gazeta lwowska“: „Ślepy stroiciel“ (z francuskiego); „Gazeta narodowa“: „Księżna z Ermingen“ Prevosta.

Tak...

No, ale my popieramy swoich tak głośno, tak otwarcie, że budzimy popłoch aż — we Wiedniu. Ażeby utrudnić obcemu przemysłowi wstęp do kraju, otwieramy im nasze łamy inseratowe na oścież i każemy sobie płacić za inseraty o wiele, grubo wiele — mniej, aniżeli kupcom i przemysłowcom naszym. Kupiec wiedeński płaci w galicyjskim dzienniku za to samo miejsce o połowę mniej, aniżeli ubogi kupiec galicyjski. I my ciągle świecimy dewizą: „Popierajmy swoich“. Popierajmy tylko tak dalek...

Ta sama prasa postawiła sobie za zadanie popierać na wskrós swojską, patriotyczną instytucję tutejszą: „Colosseum“. Już dwa razy o tem pisałem i pozwoliłem sobie na uwagę, że nie uchodzi prasie polskiej zachwalać tej instytucji, która jest przecież tynglem, tem gorszym, że nie wypisuje tego wyraźnie i zwabia do swoich murów, a raczej desek, rodziny całe, wraz z dorastającymi panienkami. Kto wyczyta w swoim lajborganie, że w Colosseum taki wspaniały i godny widzenia, niesłychanie piękny program, ten przecież raz na miesiąc z ciekawości zaglądnie do tej budy, aby na odpowiedzialność owego dziennika i córeczka ubawiła się „pysznymi“ kupletami tej Mitzi, Florci, czy jak jej tam — i nic dziwnego, że taka młodziutka panienska nudzi potem rodziców, ażeby ją zabrali do Colosseum, gdzie tak ślicznie śpiewają. Jakie to larum było we Lwowie, gdy wystawiono po raz pierwszy „Złote runo“ Przybyszewskiego, ile to wówczas hałasowano, że rodziny już teraz do teatru córek nie prowadzą, bo tam takie seksualne paskudztwa wystawiają. A przecież tych kich dramatach ostatniej doby — *si parva magnus comparare* — niema tyle pierwiastku seksualnego, ile w naszym pieprzonym kupiecie tynglowym...

I nikt tego nie wytknie — owszem, zachwala się to w superlatywach! Ta dziwna wyrozumiałość policji i dzienników staje się poprostu zagadkową. Bo same łoże gratisowe nie usprawiedliwiają jeszcze tych szumnych „recenzji“... Toć dopiero niedawno działały się w Colosseum straszne sceny, demoralizujące i haniebne, a żaden dziennik ani słówkiem nie pisał... Paczka wesółych gości zaprosiła do swego stołu paczkę wesółych śpiewaczek i zaczęła się grand-biba. To nic... Ale potem podłe wino poszło do nóg, musujący szampan do głowy, śpiewaczki „het“ pozapominały o swoim „artystycznym“ powołaniu, bibenci o kurtoazji dla dam i nastąpiły sceny, które nie nadają się do opisanie, ale o których wie i policja i dzienniki i szan... Skończyło się na protokoły w policji i na upomnieniu dyrektorów Colosseum, że na wypadek powtórzenia się tych scen, policja zamknie ich budę... Publiczność nie o tem nie słyszała, ale ulica Słoneczna miała co słyszeć przez całą noc. Kilka artystek leczy jeszcze pogruhotane czerepy...

I skąd ta pobłażliwość prasy dla Colosseum? Stąd, że dziennikarze codziennie prawie posyłają po łoże... Ale p. Hermann składa pilnie listy dziennikarzy i zapisuje sobie do księgi, któremu kiedy „podarował“ łoże. On im to wszystko przypomni... Ale p. Hermann chodzi po kawiarniach i rozpoznaje, że dziś temu lub owemu redaktorowi musiał dać łoże, bo „oni tak żebrzą aż wstyd“... Ale p. Hermann cały swój deficyt, mimo szumnych reklam dziennikarskich, przypisuje owym gratisowym miejscom... Czy to się opłaca? Czy który dziennik wiedeński drukuje recenzje z przedstawień takiego Ronachera, który bądź co bądź, jest przecie czemś więcej...

Redaktorowie dzienników lwowskich powinni uważać na swoich reporterów...

Z teatru mam do zanotowania debiut p. Maryi Zawiejskiej (córkę Konopnickiej) w „Warszawiance“ i „Śniegu“ — debiut dość szczęśliwy, ile że pani Zawiejska wykazała dużo rztetny scenicznej i posiada niski, metaliczny głos, nadający się do ról bohaterek. Druga rola wypadła znacznie lepiej.

Bardzo serdecznie żegnano panią Kliszewską, która udaje się na kuracyę do Abazyi. Lelewicz przed kuracyą wdepnie jeszcze do sześciu miast prowincjonalnych na wieczory humorystyczne. Cała prawie reszta operetki, wraz z chórzystkami, starzejącymi się z dnia na dzień, ma być wcielona do opery, która zapowiada się doskonale.

Wiadomość o oddaniu urzędu reżysera p. Nowackiemu okazuje się zbyt wczesną. W teatrze o tem jeszcze mało wiedzą, prawie nic. Pawlikowski od-

dał tylko Nowackiemu „Doktora z musu“ do wyreżyserowania i wystawienia, nie przytem (jak zwykle) nie mówiąc, czy jutro nie da innego dramatu innemu artyście. Zdaje się nawet, że odtąd stałego reżysera w miejsce Solskiego nie będzie. Jest to podobno oddawna życzeniem dyrektora, ażeby lepsi artyści kolejno reżyserowali sztuki. Chodzi tylko o to, kto jaką sztukę dostanie...

Poza tem nie przestaje się u nas mówić o drożyznie mięsa i o cholery. Nawet sam pan prezydent Michalski i dużo radnych mają głowy pełne cholery i mięsa, zaczęło trudno się dziwić, że na nic stanowczego zdobyć się nie mogą. Na razie zrewidowano 51 hoteli lwowskich, a na kilkunastu hotelarzy nałożono grzywny za rozmaite grzeszki.

Skoro już mowa o grzeszkach, nie mogę nie wspomnieć o najnowszej sensacji, kolportowanej z ust do ust od tygodnia. Czynię to wyłącznie dla pań, na ich gorące żądanie. Kobiety są mściwe, gdy jednej z nich powinie się nóżka. Dlaczego nie uważała? — pytają zaraz. Skoro była tak nieostrożna, niech będzie głośno! A więc niech będzie głośno...

Żył sobie we Lwowie pewien interesujący młodzieniec, a interesującym był z wielu względów.

Pochodził z ładnej rodziny, był ładnym chłopcem, miał ładną przyszłość, a nawet — nawet pisywał ładne wiersze. Nie trudno się domysleć, że tyle ładnych przymiotów musiało znaleźć oddźwięk w niejednym serduszkach niewieści. Pytanie!... Ale dziś, prawdą a Bogiem, trudno szczerze kochać. Panienki odrzuca wierzają... Jak to powiadał: pokaż pannie mały palec, a ona zaraz chce całą rękę — ci oddać... Święta prawda! Ani słowa... Cóż więc dziwnego, że taki, niechcący ryzykować młodzieniec, kieruje swoje afekta w stronę mniej niebezpieczną... A taką „stroną“ jest stanowczo — mężatka. Taksamo medytował poeta. On kochał we wierszach „biety wogóle, bez...“, a w praktyce kochał mężatkę jedną w szczególności. Ci poeci są inni w poezji a inni na ulicy. Tak tedy udowodniłem już — jak mi się zdaje — że najbezpieczniejszym kochaniem, czy przedmiotem kochania jest tzw. mężatka. Jest tylko pewne „ale“... Bywają bowiem „czasami“ pewne przeszkody... Do takich należy zwyczajnie mąż... Tak jest, „rodzony“ mąż bywa czasem przeszkodą, choć co prawda, żaden szanujący się dżentelmen na tego rodzaju rzeczy nie zwykł zbytnio uważać. Do takich należą i poeci. Oni wogóle nie zważają na przeszkody w miłości. Przecież i wiersz często „nie chce“ się rymować, no to go się puszcza bez rymu. A jak czasem urwie się sens? Niech jedzie bez sensu! Wiersz, to nie automobil, który bez benzyny nie pojedzie. Nie-szczęście tylko w tem, że nie wszyscy mężowie są poetami... Ot, co! Oni tego nie rozumieją i zaraz gniewają się. Tak było i tu. Nieszczęście chciało, że poeta pokochał żonę niepoety. Trudno żądać, ażeby ktoś, co się ma zakochać, uważał jeszcze, w czyjej żonie kochać się będzie. Zwykle ma się tu na oku tylko samą żonę. Niestety! Przykład ostatni pouczył, że powinno się przy tym wyborze i męża uwzględnić... O tem nasz wieszcz nie wiedział. Szkoda — ale przepadło. Mąż jakimś cudem dowiedział się o wszystkim...

Ist denn Liebe ein Verbrechen? — pytał poeta. Mąż był innego zdania. Pewnego dnia wyszedł z domu „w towarzystwie“ nieprzyjemnej, bo sękatęj laski i zaszedł na ul. Akademicką. Właśnie nadszedł elegancki poeta (fenomen!) zatopiony w myślach, czy czemś podobnem, gdy wtęmu uczuł na plecach jakieś nagłe gorąco. Kij spadł jeszcze dwa razy (za dokładność rachunku nie ręczę) na plecy, a kapelusz zleciał na ziemię z głowy, bełkotającej nawet i teraz rymy:

Jak to się dziwnie plecie,
To pewnie, pewnie ten trzeci...

Zrobiło się małe zbiegowisko. Poeta więcej nie żądał i dał znać nogom. Tłum, ten szary, marny tłum, długo omawiał zajście, starając się odgadnąć przyczynę. Ale co taki tłum wie?... Tłum, to tłum. On inaczej kocha i inaczej cierpi...

Poeta tym razem cierpiał, wprawdzie nie za milion, ale za trzech z pewnością.

Kl.

